

Katalońskie referendum i sprawa murów

3 października 2017

Katalońska łamigłówka zmieniła się w punkt zapalny na naszym kontynencie.

„Nie było katalońskiego referendum” – oświadczył uroczyście hiszpański premier Mariano Rajoy w wieczornym wystąpieniu telewizyjnym zaraz po zamknięciu lokali wyborczych w Barcelonie i innych 711 miejscowościach Katalonii (na 948), w których zagłosowano za niepodległością. Świadomie lub nie, premier Rajoy przywoływał tytuł słynnej książki Jeana Baudrillarda „Wojny w Zatoce nie było”, na temat informacyjnej wirtualizacji planetarnych wydarzeń. Słownik filozofa dochodził do głosu całą niedzielę: inni przeciwnicy katalońskiej niepodległości mówili o „symulacji” referendum, lub nazywali go medialnym „symulakrem”, jakby nie mogli uwierzyć, że coś się rzeczywiście stało. Ale stało się.

Kiedy prawicowy premier Rajoy zapewniał w Madrycie, że „państwo prawa pozostaje w mocy z całą swą siłą”, premier autonomicznego rządu katalońskiego Carles Puigdemont ogłaszał w Barcelonie, że mieszkańcy jego regionu zdobyli właśnie „prawo do niepodległego państwa w formie republiki”. Wygląda to jak zabawa w głuchy telefon, tym bardziej, że obaj politycy nie chcieli skorzystać z telefonu prawdziwego, by ze sobą porozmawiać. Jeszcze dzień wcześniej, w sobotę, konserwatywny liberał Puigdemont kolejny raz zapowiadał, że w wypadku zwycięstwa „tak” proklamuje powstanie nowego państwa w Europie.

Tego samego dnia w licznych miastach Hiszpanii, w tym w Barcelonie, odbyły się uliczne manifestacje na rzecz zachowania jedności kraju. Owszem, w Madrycie znalazła się grupka manifestująca faszystowskie gesty, ale prawda jest

taka, że wśród niechętnych katalońskiej niepodległości obecne są wszystkie kierunki polityczne (i prawie cały hiszpański parlament). Problem w tym, że w niedzielę między hiszpańskim rządem a katalońskimi separatystami powstała przepaść, którą trudno będzie zasypać.

KREW NA ZDJĘCIACH

Rząd hiszpański nie musiał wysyłać policji, by nie dopuściła do głosowania – wystarczyło nie uznać jego wyniku, skoro było, według Trybunału Konstytucyjnego, nielegalne. Zdjęcia zakrwawionych obywateli, babć ciągniętych przez policjantów tylko dlatego, że postanowiły głosować, wywołały na świecie naturalne oburzenie, a w Katalonii zdwoiły determinację separatystów. Pozycja Rajoya, który tak chciał pokazać siłę, osłabła. Do niedzieli 1 października ci Katalończycy, którzy pragną niepodległości, zachowywali się jak wzorowe społeczeństwo obywatelskie: wszystkie manifestacje były pokojowe, jak i sama organizacja tego ruchu. Jeśli to się zmieni, te zdjęcia będą służyć za usprawiedliwienie.

Wśród blisko 900 osób opatrzonych w szpitalach tylko dwie ucierpiały ciężko, ale to nie ma znaczenia dla oceny działań Rajoya. Owszem, pałowanie głosujących wynikało z orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, ale w punkcie, w którym znalazła się kwestia katalońskiej niepodległości, prawo konstytucyjne też nie ma wielkiego znaczenia. Stała się ona kwestią czysto polityczną, bo suwerenność to również prymat polityki nad regułami prawa. Jedynym pokojowym wyjściem z tej łamigłówki byłoby legalne referendum, którego wyniki uznałby rząd hiszpański, pod warunkiem podjęcia dialogu. Skromnie wzywa doń Unia, słusznie krytykowana za bierność i wręcz hipokryzję w tej sprawie.

Wyniki niedzielnego głosowania nie mogą być brane pod uwagę, jeśli brać pod uwagę wymogi demokracji, bo nie było kampanii na rzecz „nie” (przeciw niepodległości), częściowo z powodu

prawnego zakazu z Madrytu i niewypowiedzianego, ale silnego zakazu z Barcelony, w formie nacisków medialno-politycznych czy społeczno-towarzyskich. Olbrzymia większość przeciwników separacji, tych, których nie ma na zdjęciach, nie poszła głosować. Przypomnijmy, że według sondażu z minionego lata, przeprowadzonego na zlecenie separatystycznego rządu regionu, jest ich w Katalonii więcej niż separatystów (49:41 proc.).

ODGÓRNY NACJONALIZM

Jeszcze 7 lat temu w Katalonii było zaledwie 15 proc. mieszkańców przekonanych do niepodległości. To „zaledwie” jest względne, bo w 1980 r., już po transformacji ustrojowej Hiszpanii i pożegnaniu frankizmu, nie można było ich wykryć statystycznie. Ruch niepodległościowy był zawsze marginalny, lecz owego roku na czele autonomicznego rządu katalońskiego stanął nacjonalista Jordi Pujol, by rządzić aż 23 lata. To on i jego ludzie doprowadzili do owych 15 proc. w 2010 r. Z programów szkolnych wycofywano naukę hiszpańskiego (dziś więcej jest lekcji angielskiego niż państwowego), nawet nauczanie geografii ograniczono do Katalonii, która miała stać się „jedyną ojczyzną”.

Pujol nie cierpiał Hiszpanów. Nazywał pogardliwie „imigrantami” tych, którzy napływali do pracy w katalońskim przemyśle. „Imigranci z Murcji i Andaluzji mają mniejsze zdolności intelektualne od Katalończyków” – to jedna z jego typowych, wykluczających deklaracji, które miały wzmacniać „katalońską dumę”. Z kolei skok z 15 proc. do dzisiejszych ponad 40 też przyszedł z góry: jest wynikiem orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego z owego fatalnego 2010 r., unieważniającego dużo szerszą autonomię Katalonii uchwaloną przez hiszpański parlament. Argumentacja separatystów skreśliła ostro w kierunku pieniędzy. To był szczyt światowego kryzysu finansowego, który dotkliwie uderzył w Hiszpanię.

„NIE CHCEMY SIĘ DZIELIĆ”

Gdyby Katalonia oddzieliła się od reszty kraju, Hiszpania natychmiast przestałaby być czwartą gospodarką Unii. Katalonia, dzięki swemu uprzemysłowieniu i położeniu geograficznemu, ma gospodarkę silniejszą niż Portugalia, Grecja, czy Irlandia. Wytwarza 25 proc. hiszpańskiego eksportu. Separatyści akcentują, że dostają ze swoich podatków – rozdzielanych przez Madryt – dużo mniej niż ich płacą. I tak podstawą argumentacji niepodległościowej stało się przekonanie, że Katalończycy będą bogatsi, jeśli oderwą się od Hiszpanii.

To oczywiście wcale nie jest takie pewne, szczególnie w nieuniknionym okresie oderwania się od Unii Europejskiej. Dziś bezrobocie jest w regionie barcelońskim niższe, niż w reszcie Hiszpanii, ale z symulacji ekonomicznych wynika, że co najmniej podwoiłoby się, choćby z powodu przeprowadzki na terytorium Unii części międzynarodowych koncernów. Sprawy gospodarcze zdają się być równie silne w przekonaniach przeciwników niepodległości, jak u separatystów, by konkurować z kwestiami historyczno-tożsamościowymi, oczywiście i tak silnie obecnymi.

A MURY ROSNĄ

Lewica w Europie i Hiszpanii jest rozdarta dyskutując o katalońskiej niepodległości, podobnie jak katalońskie rodziny. „Walka społeczna i nasza tożsamość katalońska są nierozłączne” – mówi na przykład Gregorio Lopez Raimundo, przewodniczący katalońskiego oddziału hiszpańskiej partii komunistycznej. „Nie jesteśmy niepodległościowcami, ale sprzyjamy samostanowieniu i budowie państwa wielonarodowego, które szanowałoby tożsamości i umożliwiłoby współpracę między regionami demokratycznej Hiszpanii. Chodzi o państwo federalne.” Może to jest rozwiązanie.

Słynna piosenka Kaczmarzkiego jest trawestacją równie słynnej w Katalonii pieśni miejscowego, lewicowego barda Lluisa

Llacha, w której właściwie nie ma nic o murach. Hasła hiszpańskiej republiki zgwałconej przez wojska faszystowskiego generała Franco, tej, która broniła się szczególnie w Katalonii, są wykorzystywane w komunikacji separatystów z lewicy, liczących na lokalną rewolucję społeczną. Według tego projektu mury nie runą, ale przeciwnie – staną, będzie nimi granica z Hiszpanią. Tak, jakby murów było za mało.

Autorstwo: Jerzy Szygiel

Źródło: Strajk.eu